

Dla kogo owoce wzrostu gospodarczego ?

JAK POKROIĆ TO CIASTO

- Pracodawcy, zamiast atakować Solidarność, powinni jej podziękować za to, że zeszłoroczną kampanią „Niskie płace barierą rozwoju Polski” zmusiła do podwyższenia minimalnego wynagrodzenia i do stworzenia atmosfery, w której pracownicy żądali podwyżek. Bez tego nie byłoby pięcioprocentowego wzrostu gospodarczego w tym roku - mówi ekonomista i dyrektor S.Partner/Grupa Syndex, STEPHANE PORTET, w rozmowie z Krzysztofem Świątkiem.

- Ekonomisci Jerzy Osiatyński i Witold Orłowski sugerują, jakoby główną przyczyną wyższej inflacji, która w czerwcu osiągnęła poziom 4,6 procent, był wzrost płac. Z kolei członek Rady Polityki Pieniężnej, profesor Andrzej Wojtyna, wskazuje, że pracownicy z racji dużej wydajności zasłużyli sobie na podwyżki już kilka lat temu i nie muszą się one teraz przekładać na dalszy wzrost inflacji. Kto w tym sporze ma rację?

- Obecny wzrost inflacji nie wynika z presji podwyżek wynagrodzeń. Wiemy skąd wzięła się inflacja - ropa, żywność, ceny regulowane. Prawie 3/4 dzisiejszej inflacji pochodzi ze wzrostu cen surowców i energii. Podwyżka płac może mieć wpływ na inflację z dwóch stron: od strony kosztów dla firmy i od strony popytu. Najpierw trzeba podkreślić, że płace nie stanowią 100 procent, jeśli chodzi o możliwości wydatków gospodarstw domowych. Bessa na giełdzie lub wzrost kredytu konsumpcyjnego, polityka społeczna, także mają wpływ na wydatki gospodarstw domowych oraz na popyt. Ze strony popytu płace są ważnym, ale tylko jednym z licznych czynników.

Po drugie, wzrost płac nie przyczynia się od razu do presji na ceny, która wynikałaby z rosnącego popytu. To nie konsumenci podnoszą ceny, lecz przedsiębiorcy i czynią to, jeśli pozwala na to rynek. Z badania koniunktury NBP wynika, że jedynie dla 4,8 procent firm spośród tych, które deklarowały w II kwartale 2008 roku, że podniosą płace, wzrost wynagrodzeń ma stanowić główną przyczynę wzrostu cen ich produktów. Wpływ wzrostu kosztów pracy na inflację jest więc jeszcze ograniczony.

Marże w Polsce są jednymi z najwyższych w Europie. Poza tym warto pamiętać, że koszty pracy to tylko 11 procent wszystkich kosztów firm. Dla przedsiębiorstw eksportujących nie one są dziś głównym problemem, a wartość złotówki, która dotyczy 100 procent eksportowanego produktu.

- W latach 2000-2006 wydajność rosła w tempie 30 procent, a płace - zaledwie 7 procent. Obecnie wzrost wynagrodzeń jest nieco wyższy od wydajności. Były wiceminister finansów, Stanisław Gomułka, twierdzi, że teraz możliwe są maksymalne podwyżki płac realnych rzędu 3-4 procent w skali roku, bo inaczej inflacja skoczy do 8 procent. Czy zgadza się Pan z tą opinią?

- Absolutnie nie. Oczywiście jest, że im większy popyt, tym większe ryzyko inflacji. Jeśli mam 10 osób chętnych, by kupić moje mieszkanie, jego cena na pewno będzie wyższa. Ale na problem inflacji należy patrzeć w szerszym kontekście, nie tylko płac. Dopiero biorąc pod uwagę politykę pieniężną, kredyty konsumpcyjne, transfery społeczne wiemy, ile mogą wydać gospodarstwa domowe. Twierdzenie, że podwyżki mogą wynieść maksymalnie 3-4 procent jest trochę zaskakujące, bo wszystko zależy od sytuacji w konkretnej firmie. I to nie ja i nie pan Gomułka, a rynki produktów i pracy decydują o tym, czy daną firmę stać na podwyżki 5-, 6-, 7-procentowe. I tak naprawdę można analizować wyłącznie wysokość wynagrodzeń regulowanych, czyli przede wszystkim płacy minimalnej. W Polsce to wynagrodzenie jest wyjątkowo niskie i musi być podniesione do poziomu zapewniającego godne życie. 25 lipca 2008 roku w Rumunii wszyscy partnerzy społeczni podpisali porozumienie, w którym ustalono plan dojścia do stanu, w którym wynagrodzenie minimalne będzie wynosiło 50 procent przeciętnego. A więc już nawet w Rumunii doszło do zawarcia umowy w tej sprawie. W Polsce ten wskaźnik...

- ... po dużych bojach Solidarności...

- ... ma wynosić od stycznia 40 procent.

- Czy rząd ma instrumenty, by walczyć z rosnącą inflacją? Jak ocenia Pan działania ministra finansów Jacka Rostowskiego, choćby w kontekście nieobniżania podatku akcyzowego?

- Wiemy, że duża część inflacji związana jest z cenami regulowanymi przez rząd, np. energii i alkoholu.

Minister finansów powinien choćby tymczasowo obniżyć akcyzę, by ceny dla konsumentów spadły. I tak dzieje się w wielu krajach europejskich. Nie widzę, żeby rząd w jakikolwiek sposób walczył z rosnącą inflacją.

- Jerzy Osiatyński oczekuje od rządu osłabienia presji płacowej, np. przez otwarcie rynku dla pracowników z zewnątrz oraz reformy emerytalne zwiększające liczbę osób czynnych zawodowo. Jak ocenia Pan te propozycje?

- Jesteśmy w ogniu walki ideologicznej. Inflacja panuje wszędzie na świecie i jedynym krajem, w którym powtarza się bez przerwy, że ona pochodzi z podwyżki pensji, jest Polska. Trzeba wrócić do elementarnej ekonomii, która mówi, że o wielkości popytu nie decydują wyłącznie płace. Przy rozumowaniu pana Osiatyńskiego proponuje, by rząd zrezygnował z dotacji europejskich, bo one też mają wpływ na inflację, stymulują popyt i utrzymują presję na rynku pracy. Ludzie powinni też płakać, gdy jest hossa na giełdzie, kiedy mogą sprzedać swoje akcje i realizować zyski, bo to też powoduje większą podaż pieniądza. Polskich liberalnych ekonomistów cechuje podejście maltuzjanistyczne, tzn.

Mamy dziś dwa obozy. Już wcale nie liberałów i antyliberałów, tylko tych, którzy patrzą na rzeczywistość i tych, którzy, kierując się ideologią, chcą wprowadzać, często już zdezaktualizowane, rozwiązania książkowe. Wiemy, do czego to doprowadziło w przeszłości w Polsce.

bogactwo innych stanowi dla nich problem. Tego nie rozumiem. W każdym kraju, który się rozwija, a w Polsce mamy 5 procent wzrostu PKB, rzeczą normalną pozostaje, że pensje rosną. Presja płacowa występuje także dlatego, że w wielu branżach brakuje pracowników. Ale wracamy do tego podstawowego elementu - inflacja dziś nie pochodzi z wzrostu płac.

- W USA i krajach UE płace pracowników rosną, gdy zwiększa się wydajność. Nikt tego właścicielom firm nie narzuca. Kiedy ta zasada zacznie obowiązować w Polsce?

- Wiem, że w Polsce często się mówi, że dla zrównoważonego rozwoju trzeba, aby wzrost wydajności podzielić w proporcji: 50 procent dla kapitału i 50 procent dla pracy. Ale to teoria na papierze. W rzeczywistości tak nie jest. Od lat osiemdziesiątych wartość dodana firm we wszystkich krajach rozwiniętych w coraz mniejszym stopniu idzie dla pracowników, a w coraz większym dla kapitału. W roku 1981 we Francji 69 procent wartości dodanej przeznaczono dla pracowników, a resztę dla przedsiębiorstw i rządu. Dziś do pracowników idzie 52 procent. Na całym świecie otrzymują oni mniej z wartości dodanej niż w latach osiemdziesiątych, bo doszło do załamania ruchu związkowego, pamiętajmy o okresie thatcherizmu, kiedy rosło bezrobocie i słabła pozycja pracowników w negocjacjach z pracodawcami.

Ale skoro wydajność pozwala na większą produkcję, to trzeba też zapewnić dla tej produkcji popyt. Skurczenie popytu uznaje się za źródło problemów gospodarczych w wielu krajach europejskich. I jestem pewny, że każdy pracodawca chętnie zgodzi się, by konkurencja płaciła swoim pracownikom więcej, bo wtedy ci ostatni będą mieli pieniądze na zakup jego towarów. A trzeba pamiętać, że 60 procent wzrostu gospodarczego w Polsce opiera się na popycie krajowym. I pracodawcy zamiast atakować Solidarność, powinni jej podziękować za to, że zmusiła zeszłoroczną kampanią „Niskie płace barierą rozwoju Polski” do podwyższenia minimalnego wynagrodzenia i do stworzenia atmosfery, w której pracownicy żądali podwyżek. Bez tego nie byłoby 5 procent wzrostu gospodarczego w tym roku.

- Wspomniał Pan o kondycji gospodarstw domowych. Zdrożała żywność, paliwa, energia. W ubiegłym roku popyt gospodarstw podniósł się o 5,2 procent, ale ich dochody zaledwie o 3,7 procent. Ludzie coraz częściej uciekają się do kredytu. W

sumie Polacy są już winni bankom ok. 210 mld zł. Czy grozi utrzymywanie się tej tendencji?

- Przykładem życia na kredyt jest Estonia - dziś kraj w tarapatkach. Jeśli Polska chce stać się Estonią, niech robi tak samo. Inflacja skoczy do 10 procent, a nawet ten próg przekroczy. Przykład Irlandii, której rozwój oparty był o inwestycje zagraniczne, czy USA, zmagające się z kryzysem kredytów hipotecznych, muszą zmienić poglądy ludzi, którzy w Polsce chcą importować te modele. Koncepcje czystego monetarizmu zostały skompromitowane. Popatrzmy, co robią dziś w Ameryce - wydają publiczne pieniądze, żeby utrzymać popyt wewnętrzny. Kiedy czytam teorie liberalnych ekonomistów w Polsce, to ogarnia mnie przerażenie. Bo to jedyny kraj, gdzie takie poglądy należą, w takiej radykalnej formie, wciąż do naukowego mainstreamu, i gdzie są dalej powtarzane teorie odrzucone już dawno przez Bank Światowy czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

- O jakie skompromitowane koncepcje chodzi?

- O czysty monetarizm, który patrzy na ekonomię tylko przez pryzmat podaży. Kiedy czyta się dziś analizy Banku Światowego czy MFW, to widać powrót do polityki, która musi brać pod uwagę, że wzrost gospodarczy jest także oparty na rozwoju portfela gospodarstw domowych. Warto także przeanalizować działania banków centralnych na świecie. One nie robią tego, co NBP. W Azji mamy ujemny koszt kredytu, w Ameryce prawie to samo, Europa też zbliża się do tego poziomu. A Polska ma jedną z najsurowszych polityk pieniężnych. Kiedy pracowałem na rynku finansowym zawsze mi powtarzano, że lepiej dla nas,

gdy stopy procentowe są niskie, bo to pozwala inwestować za pół darmo i zarabiać. Polscy ekonomiści, strasząc inflacją, nie tworzą atmosfery dla obniżania stóp procentowych. Mogę to zrozumieć w przypadku naukowców, ale nie ludzi odpowiedzialnych za inwestycje giełdowe. Bo to oznacza, że zarabiają więcej lokując pieniądze bez ry-

zyzka, a też i bez umiejętności, w obligacjach państwowych, a nie w akcjach. W tej sytuacji pytam: dlaczego płacimy tyle prowizji Otwartym Funduszom Emerytalnym, jeśli ich menedżerowie potrafią inwestować tylko w bezpieczne obligacje państwowe?

- Nie wszyscy mają co odkładać. Ponad 65 procent Polaków otrzymuje pensje poniżej średniej krajowej, co dziesiąty dostaje zaledwie płacę minimalną. Połowa z ankietowanych w tym roku Polaków mówi, że nie otrzymała podwyżki. Dlaczego pracownicy nie mogą korzystać z owoców wzrostu gospodarczego?

- Jest walka o to, jak ciasto zostanie pokrojone. Kiedy przystępujemy do negocjacji płacowych, to pierwsze pytanie, jakie zadaje związkowcom brzmi: ilu macie ludzi? Bo istnieje duża korelacja między liczbą osób w związku a uzyskaną podwyżką w odniesieniu do podwyżek w danej firmie możliwych.

- Jak utrzymać trend wzrostowy polskiej gospodarki?

- Polską gospodarkę trzeba dostosować do coraz większej konkurencji na świecie. Firmy muszą inwestować nie tylko w maszyny, ale także w ludzi, a państwo - w infrastrukturę. Polska ma 5 procent wzrostu PKB, podczas gdy Irlandia i Estonia blisko 0 procent, Niemcy i Francja po 1,5-2 procent. Importowanie rozwiązań z zagranicy jest przejawem lenistwa intelektualnego naszych fachowców. A przy implementowaniu w Polsce wcześniejszych pomysłów popełniono wiele błędów. Polska powinna pójść swoją drogą, opartą na własnym kompromisie społecznym, z odpowiedziami np. na pytania: jakie Polacy są skłonni płacić podatki? Ile są skłonni pracować w tygodniu i do jakiego wieku? To kwestia kompromisu politycznego.

- Czy inflacja będzie nadal rosła i są podstawy, by obawiać się recesji?

- Komisja Europejska widzi powody, by spodziewać się „polepszenia sytuacji odnośnie zatrudnienia i wzrostu wynagrodzeń wynikających z napięć na rynku pracy”, co wraz z przewidywanym obniżeniem podatków wpłynie na wzrost PKB. Ryzykuję tą samą prognozę. Mamy dziś dwa obozy. Już wcale nie liberałów i antyliberałów, tylko tych, którzy patrzą na rzeczywistość i tych, którzy, kierując się ideologią, chcą wprowadzać, często już zdezaktualizowane, rozwiązania książkowe. Wiemy, do czego to doprowadziło w przeszłości w Polsce.

(„Tygodnik Solidarność” nr 33 (1037) z 15 sierpnia 2008 roku)